

m muzyka

„Panistwo sy skumaju co ja balakam!” — napisał w przedmowie do programu spektaklu z piosenkami lwowskimi „Jak si bawić — to si bawić” autor widowiska Wojciech Dzieduszycki, zarazem konsultant językowy i muzyczny spektaklu wystawionego ostatnio w Teatrze Muzycznym w Gdyni oraz mąż reżyserki śpiewogry — Haliny Dzieduszyckiej. By wytłumaczyć, co oznaczają poszczególne słowa cytacji trzeba by się

subtelny żar. Unikanie wszelkich słów zaczynających się na literę „U” ma jednak, jak się okazuje, silniejsze korzenie i nawet umiarkowanie odważna formuła przypomnienia dawnych już dziejów nie może tego stereotypu usunąć.

W ogóle mówienie o Ukraińcach, a także Białorusinach, przypomnienie ich obecności, nie należy nawet dziś do dobrego tonu i nie może liczyć na publiczny aplauz. Świadczy o tym umiarkowane powodzenie doskonałego spektaklu pt. „Car Mikołaj” Ta-deusza Słobodzianka, który w reżyserii Macieja Prusa wystawił warszawski Teatr Dramatyczny. Rzecz dzieje się w połowie lat trzydziestych na naszych kresach wschodnich, gdzie szerzący się fanatyzm religijny daje znakomite pole do działalności rozmaitych oszustów. Jeden z nich zajmujący się sprzedażą

Arynsztokracja kresowa

Bronisław Tumilowicz

przebieć przez hermetyczny mur słownika lwowskiej ulicy, co też było jednym z celów przedstawienia. Panuje obecnie moda na wspomnienia z dawnych kresów Rzeczypospolitej stymulowana postępnymi radzieckiej pieriestrojki i głośności, coraz śmielej więc artykułuje się fakt, skądinąd oczywisty, że w kulturze i świadomości terenów tzw. zachodniej Ukrainy, Białorusi i Litwy, silnie zakorzenił się niegdyś pierwiastek polski. Spektakl złożony z piosenek lwowskiej ulicy odkrywał tę prawdę w sposób niezbyt nachalny, z lekka zawołany z racji owego specyficznego slangu, zwanego lwowskim bałakiem, częściej odwołując się do poczucia humoru niż uderzając w tony i dzwony patosu. Publiczność jednak wcale nie oczekiwała wielkich emocji i wzruszeń, ona po prostu przyszła się bawić, a melodyjne, nadające się do nucenia już w trakcie pierwszego słuchania piosenki, stwarzały ku temu doskonałą okazję. Można by wprawdzie zarzucić twórcom widowiska, że nie wyszli zbyt daleko poza formułę „podwieczorku przy mikrofonie”, że zamiast „składanki” nie zaproponowali jakiejś zabawnej fabułki, która połączyłaby poszczególne numery wokalne i skęcze w jedną całość bez udziału konferansjera, jednakże brak ten w całości rekompensowało profesjonalne wykonanie i przygotowanie spektaklu od strony muzycznej, co było zastępą Wiesława Suchoplesa — kierownika muzycznego, oraz Bogdana Jędrzejaka — choreografa. Poważniejszą wadą widowiska, rodzajem „białej plamy”, było przemilczenie mozaiki narodowościowej międzywojennego Lwowa, w którym prócz Polaków i Żydów mieszkali także Ukraińcy. Im w końcu w znacznej mierze lwowski bałak zawdzięcza specyficzną śpiewność a tamtejsze melodie — kresową rozległość i

obrazków świętych przypadkowo dostrzeżę okazję, by ogłosić, iż jest cudownie ocalałym z rewolucyjnej pożogi carem Mikołajem II. Samozwańca popiera inny oszust — Ilija, podający się za chrystusowego proroka. Dramat wzbogacony jest przez świetną muzykę skomponowaną przez Marcina Błazewicza, a dochodzącą do głosu w scenie uroczystego ślubu, jakiego domniemany prorok udziela domniemanemu carowi. Jest to rodzaj nabożeństwa cerkiewnego, ale ponieważ wszystko jest tutaj fałszem, kompozytor dokonał oryginalnej stylizacji różnych kresowych wątków muzycznych, unikając jednocześnie bezpośrednich cytatów z muzyki cerkiewnej. W scenie ślubu cara Mikołaja z prostą dziewczyną wiejską Tamarą Ignaciuk, mogliśmy również podziwiać talenty wokalnemu-muzyczne Henryka Machalicy, który wcielił się w postać proroka Ilija oraz Mieczysława Morańskiego, który jako prawa ręka proroka był koncelebransem w tym niesamowitym, w poważnej mierze heretyckim nabożeństwie

Oba spektakle, gdyńskie piosenki lwowskie i warszawski „Car Mikołaj” pokazują nam jak bardzo atrakcyjny i świeży jest szeroko pojęty temat kresowy w naszej kulturze, przede wszystkim muzycznej, ale nie wyłącznie. Kompozytor tak utalentowany jak Marcin Błazewicz mógłby przecieżyć, choćby na bazie kontaktów z fałszywym arystokratą z dynastii Romanowów, skomponować prawdziwą mszę koronacyjną (kto wie czy w obecnej sytuacji nie znalazłaby się okazja do wykonania takiego dzieła), twórcy popularnych piosenek natomiast, słuchając odnowionych śpiewów lwowskiej ulicy uzyskaliby bodźce do napisania czegoś wartościowszego od „Kolorowych jarmarków”.